

Historiografia nauki i koniec idei postępu [TPCT 507]

Historiografia nauki powinna być czymś więcej niż wyidealizowanym portretem, w którym maskowane jest wszystko to, co jakoby nie przystaje do współczesności. Powinna przypominać lustro, w którym możemy dostrzec całość postaci, z całym jej bagażem i skutkami podjętych decyzji, które przecież nie zawsze były jedynie dobre. W tym sensie koniec uproszczonej idei postępu nie oznacza przecież samej kapitulacji rozumu, lecz pożegnanie z naiwną opowieścią.

Bywa dziś traktowana jak coś pomiędzy nudnawym przypisem a muzeum, w którym ustawia się dawne błędy w gablotach, a następnie z ulgą wraca do teraźniejszości. Tymczasem bez tej pozornie drugorzędnej perspektywy, nauka pozostaje w gruncie rzeczy niezrozumiała, tak jakby nie znała własnego rodowodu. To właśnie historyczne i porównawcze badanie tej dziedziny wiedzy pozwala dostrzec, że to, co uchodzi dziś za oczywiste, kiedyś wcale takim się nie jawiło, ba! zdawało się wręcz nie do pomyślenia! To właśnie historiografia nauki jako badanie dziejów myślenia, często wskazuje, jak powstają i utrzymują się systemy przekonań, które wyznaczają dzisiejsze paradygmaty i, co ciekawe, nie zawsze były one tak oczywiste. To właśnie ona przypomina, że nauka rodziła się zarówno w sporach, jak i w dialogu z teologią czy metafizyką. Co więcej, że postęp niekoniecznie okazuje się marszem geniuszy, podążającym w jasno wytyczonym kierunku, który znany był od zawsze, a do pokonania był jedynie dystans. Ta historia jest znacznie ciekawsza, czasem

mitobójcza – i to niekoniecznie z perspektywy tradycjonalistów, ale i w optyce zwolenników linearnej koncepcji rozwoju i kapłanów konieczności.

Nowoczesna wyobraźnia historyczna lubi opowieści proste, w szczególności te, które jasno prowadzą z mroku do światła czy jeszcze lepiej: od zabobonu do rozumu. Jej przejawem jest chociażby wigowski mit historyczny, który koronuje konieczność, która doprowadziła do obecnego stanu, nagradza zwycięzców i piętnuje przegranych jako stojących po złej stronie dziejów. W biologii rolę podobnego mitu porządkującego spełnił syntezycentryzm Ernsta Mayra, w którym dzieje ewolucjonizmu układają się w prostą drogę ku nader spójnej teorii, reszta zaś to błąd lub filozoficzne zaślepienie. Przeszłość zostaje w ten sposób uporządkowana, odpowiednio zaszufelkowana i skrojona do ugrzecznionej wersji dla współczesnych Młodziaków. Kłopot w tym, że ten ustalony porządek jest cokolwiek nieprzystający do rzeczywistości i zwyczajnie osiągnięty kosztem jej realnej złożoności.

Warto bowiem mieć na uwadze, że takie opowieści działają retroaktywnie: to, co wiemy dziś, staje się miarą tego, co było. Dawni uczeni zostali obsadzeni w rolach prekursorów albo antagonistów, zależnie od tego, czy da się ich wpisać w aktualny paradygmat. To jest moment, w którym historiografia przestaje być badaniem, a staje się (dość ponurą – przyznajmy) formą pedagogiki sukcesu. Tymczasem wiedza nie rozwija się jak prosta linia, ale dość skomplikowany kompleks wyborów, system założeń i czasem niechcianych, przypadków, które złożyły się na współczesny krajobraz. Jeśli zaś potraktować dawnych uczonych na poważnie, jako ludzi własnej epoki, zaczyna się prawdziwa przygoda! Isaac Newton, symbol nowoczesnej nauki, jawi się zarazem jako autor *Principiów*, ale i zapamiętały

alchemik, apokaliptyczny teolog czy też badacz prorocत्व biblijnych. Z perspektywy wyznawcy nieuchronnego postępu, to do osobliwe (by nie powiedzieć wielce wstydlive) hobby, powinno rychło pójść pod skalpel historiografa, skazującego na zapomnienie integralną część myślenia o świecie tego wielkiego przecież fizyka. Newton uważał wręcz, że alchemia to klucz do zrozumienia Bożego porządku natury. Usuwając ten kontekst, zyskujemy bohatera nowoczesności, ale tracimy człowieka i pewną ścieżkę, jego dochodzenia do praw rządzących rzeczywistością.

Podobnie bywa ze średniowieczem, które w szkolnej narracji często pełni rolę długiej (nudnej i obskuranckiej – aby dopełnić obrazu) poczekalni przed renesansem. Tymczasem innowacje XIV wieku: zarówno matematyczne analizy ruchu, spekulacje nad nieskończonością czy prace oksfordzkich kalkulatorów rozwijały się w obrębie arystotelesowskiego świata. Co ciekawe, pomimo swojego intelektualnego wyrafinowania, wcale nie prowadziły prostą drogą do odkryć Galileusza. To obrazuje, że rozwój nie zawsze polega na przekraczaniu paradygmatu a bardziej na twórczym zagęszczeniu. Historia nauki pełna jest takich momentów, które z perspektywy idei prostego postępu wyglądają jak stagnacja, a z perspektywy epoki jawiły się jako szczyt możliwości. Co więcej, dobrze potraktowana historiografia nauki uczy przy tym rzeczy niewygodnej: że nie istnieją „czyste fakty”. Każde narzędzie badawcze, każda kategoria pojęciowa, każde pytanie jest osadzone w historii. To, co dziś wydaje się neutralnym opisem, jutro może okazać się stylem myślenia właściwym dla określonej instytucji czy epoki. Ludwik Fleck trafnie zauważył, że przeszłość żyje w teraźniejszości, a zatem w języku, w nauczaniu, w strukturach często instytucjonalnych, oraz że związek ten staje się niebezpieczny dopiero wtedy, gdy pozostaje nieświadomiony.

Dlatego historiografia nauki pełni funkcję pewnej autokorekty, często jako strażnik realiów i rzeczywistości. Demistyfikuje bowiem opowieści o nieuchronnym postępie, pokazując, że „postęp” jest często konstruktem zależnym od potrzeb paradygmatu. Ba! w wielu przypadkach narracje historyczne miały charakter użytkowy: miały legitymizować aktualny stan wiedzy, integrować środowisko albo dostarczać mitu założycielskiego. Dlatego w momencie, w którym historia nauki przestaje być tubą współczesności, otwiera nowe pola widzenia. Zamiast jednej drogi pojawia się wtedy cała sieć ciekawych alternatyw. Co ważne, nauka zaczyna się jawić nie tylko jako dość prymitywny pochodz rozum przez dzieje, lecz raczej jako przestrzeń sporów, napięć i negocjacji, w których zwycięstwo jednej teorii nie zawsze oznacza logiczną konieczność.

W tym sensie historiografia nauki powinna być czymś więcej niż wyidealizowanym portretem, w którym maskowane jest wszystko to, co jakoby nie przystaje do współczesności. Powinna przypominać lustro, w którym możemy dostrzec całość postaci, z całym jej bagażem i skutkami podjętych decyzji, które przecież nie zawsze były jedynie dobre. W tym sensie koniec uproszczonej idei postępu nie oznacza przecież samej kapitulacji rozumu, lecz pożegnanie z naiwną opowieścią. Zamiast niej dostajemy historię bardziej krętą, ludzką i zwyczajnie ciekawszą, bo pełną zerwań czy ślepych zaułków. Historiografia działa tu jak regulacja ostrości w starym aparacie: obraz traci pocieszającą gładkość, pojawiają się rysy i ziarno, ale dopiero wtedy zaczynamy widzieć dokładniej, precyzyjniej – i zarazem możemy lepiej oceniać zastany porządek.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [507]:
„Historiografia nauki i koniec idei postępu”**